

BOHDAN

PETECKI

Tysiąc i jeden światów



Bohdan Petecki

TYSIĄC I JEDEN ŚWIATÓW

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-87-4

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1983

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Spis treści

Świecie, świecie

Generalne porządki

Amfora

Oddaj mi mój piorun!

Ile tych światów?!

Noc bogów, ludzi i gwiazd

Automat obronny

Tysiąc i pierwszy...

Świecie, świecie!

– Świecie, świecie!

Świat zamrugał, zdziwiony.

Czy świat może mrugać? Niektórzy uczeni fizycy utrzymują, że tak, chociaż określenie „mrugać” zastąpili słowem długim i trudnym do zapamiętania, a zrozumiałym jedynie dla nich samych. Teraz jednak świat zamrugał w sposób zgoła nienaukowy. Za otwartym oknem pokoju na dziewiątym piętrze przepuścił parkę ścigających się wróble. Nagły przelot dwóch roztrzepotanych cieni i znowu zupełny spokój. Wyglądało to właśnie tak, jakby błękitne czerwcowe niebo zamrugało ze zdziwienia.

– O, świecie, świecie! – rozległo się znowu.

Zartobliwe zawołanie ojca, które Bolek po raz pierwszy powtórzył w jedenastym miesiącu życia (powiedział wtedy powoli i wyraźnie: „fsfiesie, fsfiesie, ouu...”), a które odtąd służyło mu do wyrażenia wszystkich bez wyjątku uczuć, dziś zabrzmiało nie tylko poważnie, lecz zgoła tragicznie.

Nie, nie. W chwili gdy zaczynamy naszą opowieść, jej bohater nie stoi w obliczu żadnej prawdziwej tragedii. Natomiast faktem jest, że ma prawo żywić głębszą urazę do świata. Pomimo że ten świat, upalny, pogodny i piękny jak rzadko kiedy, zdaje się tak wiele obiecywać. Pomimo – a może raczej właśnie dlatego?

Bo zważcie sami. Jest dwudziesty pierwszy czerwiec, drugi dzień wakacji. Zgodnie z dawno ułożonym planem pojutrze, dwudziestego trzeciego, Bolek wraz z rodzicami i babcią miał wyruszyć w podróż, jakiej mógłby mu pozazdrościć nie tylko każdy z jego rówieśników – czternastolatków, lecz także ogromna większość dorosłych mieszkańców kuli ziemskiej. Podróż z bajki. Podróż marzenie.

W przedpokoju piętrzy się już stos pakunków, plecaków i brezentowych worków – mieszczących wszystko, co powinni zabrać ze sobą ludzie zamierzający spędzić wakacje na bezludnej wyspie. Obok pękatek tobołków leżą: zgrabnie zwinięty wielki namiot, dwie turystyczne butle z gazem i sprzęt do nurkowania. A na dole, przed domem, czeka czerwony fiacik z rozłożystym bagażnikiem, przystosowanym do dźwigania dużej gumowej łodzi. Tym fiacikiem rodzina Milejów – to jest babcia Emilia zwana Miłą (Miła Milej – prawda, że takie połączenie imienia i nazwiska byłoby nader stosowne dla każdej babci?), mama Alicja, pan domu i szef wyprawy Henryk oraz nasz bohater – chciała pojutrze wyruszyć w drogę, by przez Czechosłowację, Węgry i Jugosławię dotrzeć w Grecji do portowego miasta Saloniki. Tam miała spotkać się z przyjacielem Henryka Mileja, doktorem Andreasem Uranisem, aby następnie razem z nim, z jego żoną Pinelopi oraz dwojgiem dzieci, Eleną i Pelosem, popłynąć na jedną z setek przepięknych malutkich wysepek, rozrzuconych po słynnym Morzu Egejskim.

Oczywiście nie każdemu wolno bawić się w robinsonów na bezludnych wysepkach należących do Grecji. Ale doktor Andreas Uranis był wicedyrektorem Instytutu Archeologicznego w Atenach i brał udział w wielu wyprawach, których uczestnicy badali dno Morza Egejskiego, wyławiając z niego skarby starożytnej sztuki oraz przedmioty należące do żeglarzy czy kupców przemierzających te wody przed tysiącami lat. Dlatego władze państwowe pozwoliły mu założyć wakacyjny obóz na wysepce, którą sobie upatrzył i ochrzcił imieniem muzy historii, Klio. Bo wyspa była tak malutka, że na morskich mapach figurowała jedynie jako czarna kropczka bez nazwy.

Doktor Uranis zaproponował ojcu Bolka, by wraz z całą rodziną spędził z nim tegoroczny urlop na Klio. Obaj panowie poznali się i zaprzyjaźnili w Atenach, gdzie Henryk Milej, dziennikarz, przebywał trzy lata jako korespondent popularnej gazety.

Kiedy przyszedł list (gdzieś pod koniec mroźnego lutego) mama Bolka pokręciła z powątpiewaniem głową.

– Na wyspę? Bezludną? My wszyscy? – spojrzała pytająco w stronę babci.

– A niby czemu nie?! – zaperzyła się ta ostatnia. – Pewnie myślicie, że jestem już stara i do niczego się nie nadaję! Akurat! Właśnie że chcę jechać na wyspę. Będę mieszkać wśród kwiatów jak prawdziwa nimfa, będę się pluskać w wodzie i palić ognisko. Może wreszcie trochę się ogrzeję... Brrr! – babcia demonstracyjnie zaszczękała zębami. W pokoju było rzeczywiście chłodno.

– No właśnie! – podchwycił ochoczo Bolek. – Czemu by nie?!

– Czemu by nie... – powtórzył niepewnie ojciec patrząc pojednawczo na mamę.

Po tygodniu burzliwych dyskusji pan domu wysłał do swojego przyjaciela z pięknej Grecji długi i serdeczny list, w którym podziękował za zaproszenie, informując zarazem, jak zwykli mówić dyplomaci, że zaproszenie zostało przyjęte z zadowoleniem.

Dyskusje w domu państwa Milejów toczyły się oczywiście nadal, ale już wokół kwestii czysto praktycznych. Mama przestała zerkać w stronę babci i Bolka, bo przecież nie było powodów do obaw. W końcu któż, jeśli nie czternastoletni harcerz i zapalony turysta, jest powołany do biwakowania na bezludnej wyspie? A babcia Miła, energiczna, ruchliwa, o zawsze uśmiechniętych niebieskich oczach i mlecznobiałych włosach, stanowiła jaskrawe przeciwieństwo osoby, którą można by nazwać staruszką. Nie mówiono zatem więcej o niebezpieczeństwach zamierzonej podróży. Zaczęto się natomiast spierać o wybór trasy, miejsca noclegów, a przede wszystkim o sprzęt i zapasy, jakie należy zabrać z sobą. Po pierwszej przymiarce powstał spis bagaży, których przewiezienie wymagałoby wynajęcia całego pociągu towarowego lub kolumny największych ciężarówek. Przyszło więc skreślać z listy jedną pozycję po drugiej – i to właśnie okazało się najtrudniejsze. Mama Bolka, która była lekarzem, nie chciała nawet słyszeć o uszczupleniu zasobów przeróżnych proszków, ampułek, tabletek, plastrów i bandaży, jakimi wypchała spory tobół, darząc go mianem „podręcznej apteczki”. Na próżno ojciec argumentował, że nie wybierają się przecież na wojnę i nie będą toczyć krwawych bitew z piratami, a na Klio darmo byłoby szukać jadowitych skorpionów, krokodyli, złośliwych nosorożców lub innych drapieżników.

– Odpowiadam za wasze zdrowie – powtarzała nieustępliwie mama – i nikt nie będzie mi dyktował, czego nie mam mieć ze sobą.

Sam ojciec natomiast uważał, że zabranie maszyny do pisania nie jest żadnym kaprysem, a wręcz obowiązkiem względem czytelników jego gazety, których z pewnością zainteresowałyby reportaże z wysp greckich i kronika niezwykłych wakacji spędzonych na Morzu Egejskim.

– Weźmiesz mały notesik i będziesz w nim zapisywał najważniejsze fakty – orzekła babcia. – Resztę zapamiętasz. Jako chłopiec miałeś chwalebny zwyczaj zabieranie z sobą na wakacje zeszytów i podręczników, nie zdarzyło się jednak, żebyś choć raz przed końcem lata zajrzał do któregoś z nich. Z biegiem czasu nie stałeś się wcale mądrzejszy, co, jako twoja matka, stwierdzam z pewnym ubolewaniem.

– Mogłaby mama nie mówić takich rzeczy przy dziecku – bąknął z niesmakiem ojciec.

– Poza tym moja walizkowa maszyna nie zajmie nawet jednej setnej części miejsca, jakie zdaniem mamy powinniśmy zarezerwować dla tej monstrialnej piramidy konserw, kaszek, makaronów, ziemniaków, sucharów, marynatów, dżemów i licho wie czego jeszcze...

– Ale maszyna jest niejadalna – ucięła babcia, której miała podlegać wyspiarska kuchnia. – Ciekawa jestem, co powiesz, kiedy po całym dniu pływania i nurkowania dam ci na kolację naleśniki z papieru, przełożone kalką.

Bolek przyznawał w duchu rację kolejno mamie, ojcu i babci, ale nic nie mówił.

Postanowił, że włączy się do dyskusji tylko w wypadku, gdyby ktoś chciał skreślić z listy choćby jeden drobiazg należący do wyposażenia łodzi i sprzętu do nurkowania bądź któryś z

tak absolutnie niezbędnych każdemu robinsonowi przedmiotów, jak: saperka, toporek, torebka gwoździ, zapas sznurka i drutu, nóż myśliwski, szkło powiększające, słój kleju i jeszcze kilkanaście innych drobiazgów.

W końcu jednak drogą wzajemnych ustępstw osiągnięto porozumienie i zaczęły się właściwe przygotowania. A teraz i one zostały zakończone. Samochód, już częściowo załadowany, czekał na parkingu pod domem, a reszta spakowanych bagaży w przedpokoju. I właśnie wtedy los wypłatał rodzinie Milejów paskudnego psikusa. Wypłatał go właściwie babci, ale skrupiło się na wszystkich. Bo babcia, ciesząca się na ogół dobrym zdrowiem, ni stąd, ni zowąd w upalne, słoneczne dni pogodnego czerwca zapadła na gripę. Wezwany przez mamę kolega lekarz zapisał antybiotyki stwierdzając równocześnie z głupkowatym, jak osądził Bolek, uśmiechkiem, że przez najbliższy tydzień o żadnym wyjeździe nie ma mowy. A co dopiero o włóczędździe przez kilka krajów i prymitywnym koczowaniu na bezludnej wyspie.

I jak tu się dziwić, że Bolkowe „świecie, świecie!” brzmi dziś tak żałośnie.

Babcia zaproponowała, aby rodzice wraz z Bolkiem jechali sobie jakby nigdy nic, dodając, że wyzdrowieje o wiele prędzej, jeśli nie będzie mieć wokół siebie rodziny. Był to jednak nietrudny do zdemaskowania zabieg dyplomatyczny: babcia nie chciała psuć pozostałym domownikom wymarzonej wakacji. Ale przecież było zupełnie jasne, że domownicy nigdy nie zgodziliby się zostawić jej samej. Tak czy owak, fakt pozostawał faktem i podróż do Grecji oraz nadzieje na cudowne wyspiarskie przygody rozpierzchły się w tak zwanej sienie mgle.

Teraz Bolek rozejrzył się po pokoju. Na stole pod ścianą leżały już złożone mapy Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii i Grecji oraz karteczki z krótkimi opisami miejscowości, które zasługiwały, aby się w nich po drodze zatrzymać. Chłopiec smętnie pokiwał głową i wyszedł na balkon.

Upał wzmógł się jeszcze. Dziewięć pięter niżej przedszkolaki wraz z wychowawczynią ukryły się w cieniu. Osiedle, w którym mieszkali państwo Milejowie, leżało na skraju śródmieścia i graniczyło z wielkim parkiem leśnym. Zaraz za ostatnimi domami błyszczały w słońcu tafle czterech jezior, wokół których popołudniami gromadziły się tłumy spragnionych ochłody mieszczuchów. Dalej ciągnął się szeroki pas niezbyt wysokiego lasu. Dopiero z mgiełki na samej linii horyzontu wyrastały maleńkie z tej odległości bloki innych osiedli oraz fabryczne kominy. Bolek westchnął.

– Co tak wzdychasz? – zabrzmiał tuż obok niego pogardliwy głos. – Brzuch cię boli? Siedzisz w mieście? Ja jadę dzisiaj nad morze. A właściwie lecę. Samolotem.

Na bliźniaczym balkonie stał wysoki, silnie zbudowany chłopiec z krótko przystrzyżoną rudą czupryną. Był to August Karp, najmniej sympatyczny ze szkolnych kolegów Bolka, a zarazem jego sąsiad z tego samego piętra. August zawdzięczał swe rzymskie imię ojcu, Tytusowi. Legenda rodzinna państwa Karpów głosiła, że Tytus Karp pragnąc, aby jego syn stał się osobistością bardziej wybitną niż on sam, nazwał go Augustem, motywując to tym, że August był większym cesarzem aniżeli Tytus. Na razie jednak August Karp był wielki tylko w jednym sensie tego słowa: liczył metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Poza tym stopnie miał gorsze od Bolka, za to zdecydowanie dalej skakał, szybciej biegał, lepiej jeździł na rowerze, a także zdradzał skłonności do nadużywania swoich isticie boksinerskich pięści.

– Nic mnie nie boli. Siedzę w mieście, bo babcia się rozchorowała – mruknął niechętnie Bolek. – Ma gripę...

– No tak, jeśli się jeździ na wakacje z mamusią i babcią! – August zaśmiał się szyderczo. – Ja już jutro wypłynę sobie daleko w morze. Potem pobiegam po plaży, pokopię piłę... będę tam miał bardzo fajną paczkę. A do mojej babci napiszę kartkę i poradzę jej, żeby nie jadła lodów, bo się przeziębą.

Bolek przestał słuchać. Zacisnął zęby, machnął z wściekłością ręką i błyskawicznie wycofał się do pokoju. Nie miało sensu dyskusowanie z kimś takim jak August. Bałwan!

Uspokoił się trochę i spojrzał na zegarek. Za piętnaście pierwsza. O pół do drugiej trzeba będzie zbudzić babcię, która osłabiona gorączką drzemie w swoim pokoju, i podać jej herbatę, aby mogła popić nową porcją pigułek. Antybiotyki należy zażywać dokładnie co sześć godzin. A rodzice wrócą do domu dopiero około czwartej.

Zza otwartych drzwi, jakby wprost z upalnego nieba, dobiegało wyzywające pogwizdywanie Augusta. Bolka ponownie ogarnęła złość. Żeby pękł ten głupi zarozumialec!

– Świecie, świecie! – zawołał półgłosem. I pomyśleć, że taki typ będzie jutro pływał w morzu! A tu nie można nawet wyjść na balkon, bo on od razu zacznie pleść głupstwa. Świecie, świecie! Mógłby mu powiedzieć, że wybiera się na bezludną wyspę... dopiero zrobiłby minę! Ale to byłoby poniżej godności, a poza tym... poza tym, przecież nie jedzie. Niech już pędzi nad to swoje morze, byleby go więcej nie oglądać.

– A przedtem – wyszczał w nowym przypływie pasji – przedtem niech zleci na łeb razem z tym balkonem, na którym stoi i gwizdże!

W tym momencie coś okropnie zachrobotało i zaraz powietrze przeszył straszliwy wrzask.

– Ratunku! Ratunku!!! – ryczał ktoś, jakby żywcem obdzierany ze skóry. Tym kimś był ponad wszelką wątpliwość August Karp, ale tego mógł się domyśleć tylko jego szkolny kolega. Głos Augusta przypominał wycie konającego potwora z japońskiego filmu.

Bolek dwoma susami wypadł na balkon. Zdołał jeszcze ujrzeć walącą się w dół prostokątną płytę z pomalowaną na brązowo poręczą i przyczepioną do niej kurczowo sylwetką swego nieznośnego sąsiada.

– Nie! Nie! – krzyknął Bolek. – Ja wcale nie chciałem... – urwał, ponieważ balkon, który spełnił jego życzenie i runął wraz z Augustem, ni stąd, ni zowąd w niedostrzegalnym ułamku sekundy, zamiast roztrzaskać się dziewięć pięter niżej, wrócił na swoje dawne miejsce. Wokół znowu zapanowała cisza, przerywana tylko świergotem ptaków i dalekimi piskami rozbawionych przedszkolaków.

Bolek stał dłuższą chwilę jak skamieniały, po czym odetchnął głęboko i otarł pot z czoła. Co to było? Przywidzenie? Może zaraził się od babci i ma gorączkę? Przecież ten wielki, ciężki balkon, z żelazną balustradą i korytkami pełnymi kwitnących begonii, najwyraźniej leciał w dół jak spadający samolot. I to akurat w tym momencie, kiedy on, Bolek, powiedział...

– Zupełnie jakbym był czarnoksiężnikiem i mógł robić wszystko, o czym tylko pomyślę – szepnął chłopiec zdławionym głosem, bo co innego czytać o czarnoksiężnikach w bajkach, a co innego odnaleźć nagle, po czternastu latach błogiej niewiedzy, potężne mroczne siły w sobie samym.

No, może nie wszystko – poprawił się w myśli z ulgą. Przecież ten balkon jest już znowu tam, gdzie zawsze. Czyli nie spadał naprawdę, bo balkony nie latają w dół i w górę jak wróble. Ale skądinąd... widział wyraźnie. I słyszał krzyk Augusta. Dziwne.

Pocieszające było tylko to, że August Karp, wrzeszczący czy gwizdzący, zniknął z pola widzenia. Pewno wrócił do mieszkania.

Bolek pomedytował chwilę, po czym pokręcił głową i ponownie spojrzał na odległe stawy i las na horyzoncie. Jak okiem sięgnąć, ani jednej chmurki. Cisza, jaka ogarnia miasto tylko w upał i tylko w okresie wakacji. Na malutkich sztucznych plażach wokół jeziorok powoli gromadziło się coraz więcej ludzi. Po nakarmieniu babci kolejną porcją pigułek można by tam właściwie pójść i przynajmniej do czwartej popływać w letniej, choć niezbyt czystej wodzie. Tylko czy taka kąpiel sprawiłaby przyjemność komuś, kto miał w perspektywie biwakowanie na bezludnej wyspie i nurkowanie w kryształowych głębiach, pełnych kolorowych ryb i podwodnych dziwów?

Już lepiej, żeby zaczęło padać – pomyślał nieszczęsny Bolek. – Świecie, świecie! – złapał się za głowę. – Żeby chociaż lało. Żeby zerwała się burza z gradem i piorunami. A najlepiej śnieżyca.

Zaledwie to powiedział, niebo pociemniało. Niskie, ołowiane chmury, które wzięły się nie wiadomo skąd, przeszył złowrogi błysk i natychmiast huknął ogłuszający grzmot. Równocześnie o szyby uderzyły gnane wichrem fale deszczu.

– Ja nie chcę! Ja nie chcę! – rozległ się na balkonie piskliwy głosik, porwany i zdławiony przez nawałnicę.

Burza szalała coraz gwałtowniej. Bolek usiłował wycofać się do pokoju, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

A jednak jestem czarnoksiężnikiem – zakołatała mu w głowie szalona myśl. – Jestem czarnoksiężnikiem. Przedtem, z tym balkonem, mogło mi się zdawać, ale teraz... No dobrze, skoro jednak rzeczywiście jestem czarnoksiężnikiem, to wszystko od razu powinno się dziać tak, jak tego zapragnę. A tymczasem wołam „nie chcę, nie chcę”, a burza nic! Zważywszy okoliczności, rozumowanie świeżo upieczonego mistrza czarnej magii było nad podziw rzeczowe.

Burza istotnie nic sobie nie robiła z protestów chłopca. Grzmoty rozbrzmiewały coraz częściej. Parapety rozdzwoniły się pod ciosami wielkich bryłek gradu.

– Świecie, świecie! – zawołał przerażony Bolek. – Niech natychmiast znowu będzie pogoda!

Niebo zabłysło przygaszonym złotem. Po podmuchach lodowatego wiatru upalne powietrze zapiekło w płucach jak ogień. Po chmurach nie zostało ani śladu. Na dole wokół domów skwery i alejki były suche, spieczone od słońca i zakurzone. Nieliczni przechodnie snuli się ospale, poubierani w lekkie kolorowe koszulki i bluzki. Próżno byłoby szukać wzrokiem bodaj jednej kałuży pozostałej po ulewie. A zatem nie było ulewy!

– Co to się właściwie dzieje? – wyszeptał struchlały chłopiec.

– Wariant załamania czasoprzestrzeni o specyfice klimatycznej, wymieniony w poprzednim rozkazie, został zastąpiony przez wariant określony w rozkazie drugim – odpowiedział mu jakiś łagodny głos.

Rzecz osobliwa. Ten głos nie dobiegał ani z wnętrza pokoju, ani też w ogóle z jakiegokolwiek konkretnego kierunku. Przychodził zewsząd i znikąd. Najwłaściwsze byłoby stwierdzenie, że rozbrzmiewał wyłącznie w głowie Bolka.

– Kto... kto mówi? – wydukał chłopiec.

– Pomocniczy automat do wybierania pożądanych równoległych załamania rzeczywistości – padło wyjaśnienie.

– Eeee... Aaaa... Automat?

– Nie jestem „EA”. Mam symbol: jeden, jeden, dwa, jeden, dwa, dwa.

Zapanowało milczenie. Bolek cofnął się pół kroku w stronę drzwi balkonowych, ale musiał przystanąć, na skutek sprzeciwu własnych kolan, które nagle zatraciły swą przyrodzoną sprężystość. Rozglądał się przy tym dokoła, szukając źródła tajemniczego głosu.

Na sąsiednim balkonie nadal było pusto. Zresztą, gdyby August rzeczywiście chciał robić głupie kawały, to przecież i tak nie byłby w stanie sprawić, aby nad miastem w słoneczny dzień nastąpiło nagle urwanie chmury, a potem równie raptownie zapanowała znowu idealna pogoda. Tego nie potrafiłby nawet prawdziwy rzymski cesarz. No dobrze, ale w pobliżu nie ma absolutnie nikogo!

Chłopiec zadarł głowę i przez chwilę szukał pod balkonami i parapetami okien gadającego automatu o symbolu jeden, jeden i ileś tam. Nadaremnie. Spuścił więc oczy i spojrzał uważnie pod nogi. W bajkach spotyka się przecież krasnoludki tak małe, że trzeba by je oglądać przez lupę, a mówiące jak normalni ludzie.

Krasnoludka jednak nie było, natomiast w rogu balkonu obok pustych doniczek, przygotowanych do przesadzania kwiatków, co stanowiło ulubione zajęcie mamy, leżała czarna, jak ulepiona z sadzy, tenisowa piłeczka.

Piłeczka to piłeczka. Są białe, żółte, pomarańczowe. Mogą być i czarne.

Nie – odpowiedział sobie Bolek. – Właśnie, że nie mogą. Mecze tenisowe są przecież często transmitowane przez telewizję. Czarnej piłki nie byłoby widać na ekranie.

Pochylił się, wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął koniuszkiem palca kulistego przedmiotu, który natychmiast drgnął i potoczył się w stronę krawędzi balkonu. Bolek odruchowo chwycił go całą dłonią i podniósł do góry.

W dotknięciu czarna kulka nie przypominała już piłeczki tenisowej. Przede wszystkim była zbyt lekka. Nie ważyła więcej niż bombka na choinkę i wydawała się równie krucha. Poza tym miała osobliwą powłokę, bardzo gładką, a zarazem wcale nie śliską. Chłopiec od razu rozluźnił uścisk palców, żeby przypadkiem nie zgnieść swojej zagadkowej zdobyczy.

– Automaty typu jeden, jeden są budowane z niezniszczalnych materiałów – usłyszał. – Jestem odporny na ciśnienia panujące w superwielkich polach grawitacyjnych. Mogę bez szkody znieść przelot z dowolną szybkością przez najgęstsze warstwy atmosfery.

Chłopiec od razu puścił piłkę-niepiłkę tak, że upadła na betonową posadzkę balkonu. Rzeczywiście, nie stłukła się. Podskoczyła lekko dwa razy i znieruchomiała. Bolek sam nie wiedział, kiedy znalazł się w pokoju. Dopiero stamtąd zawołał:

– Co to? Co to?

– Powiedziałem. Automat jeden, jeden, dwa, jeden, dwa, dwa – odpowiedź i tym razem została przekazana jakby przez jakiś delikatny głosik wewnątrz głowy Bolka.

– Więc to jednak ty przedtem mówiłaś... to znaczy, mówiłaś – stwierdził po dłuższej pauzie chłopiec, nieco uspokojony faktem, że znajduje się w bezpiecznej odległości od czarnej bombki, a ta leży spokojnie na balkonie i nie zdradza złych zamiarów.

Minęło znowu kilkanaście sekund, zanim Bolek zdołał sformułować następane pytania:

– Automacie, skąd się tutaj wzięłaś i czy to ty spełniałaś moje życzenia jak jakaś wróżka? Czy możesz zrobić wszystko, co ktoś sobie wymarzy?

– Należę do gwiazdolotu patrolowego, który uległ awarii i musiał odrzucić część pojemników z zapasowym sprzętem. W miejscu, w którym teraz jesteśmy, znalazłem się zupełnie przypadkowo. Nie znam współrzędnych punktu lądowania...

– Jak to? – przerwał gorączkowo chłopiec. – Chcesz mi wmówić, że pochodzisz z innej planety?!

– Odpowiadam na pytanie. Przybywam z kosmosu, nie wiem, co znaczy określenie „inna planeta”. Planet jest wiele, wszystkie w danym momencie należą do wspólnej czasoprzestrzeni. Zmieniwszy wariant jej załamania...

– Nie jesteś z Ziemi?

– Z Ziemi? Stąd? Nie. Czy mam odpowiadać?

Bolek milczał, więc głos mówił dalej:

– Nic mi nie wiadomo o spełnianiu życzeń. Mogę tylko na polecenie rozmaitych istot żywych przenosić te istoty do równoległych rzeczywistości, w punktach i momentach gwarantujących pożądane warunki. Czy mnie zrozumiałeś?

– Tak... oczywiście! To znaczy, nie... Zupełnie nie! – powtórzył chłopiec, tym razem z głębokim przekonaniem.

– Załamania czasoprzestrzeni są przez istoty rozumne nazywane światami.

Geometryczna organizacja kosmosu obejmuje nieskończoną ilość równoległych światów. Stwarzam wokół siebie i osoby wydającej polecenia zamkniętą, nieprzenikliwą strefę, po czym przenoszę ją do innego świata, w którym akurat dzieje się coś, co mój rozkazodawca pragnąłby przeżyć, zobaczyć czy usłyszeć – tłumaczył cierpliwie głos.

Po dłuższym namyśle Bolek uznał, że jego aż nadto uzasadniona ciekawość nie została w należyтым stopniu zaspokojona. Cofnął się jeszcze o krok w głąb pokoju i zawołał:

– Co to wszystko znaczy? Jesteś z gwiazdolotu przybyłego na Ziemię. A czemu nikt o tym nie wie? Pewnie coś knujecie! Czytałem różne historie o inwazji obcych cywilizacji. W dodatku zmieniasz jakieś światy. Tu nic nie wolno zmieniać bez nas, mieszkańców tej planety! Rozumiesz?!

– Cały czas spełniam polecenia istoty rozumnej mieszkającej na tej planecie – odrzekł z niezmaconym spokojem automat. – Na twoje żądanie przeniosłem cię do równoległej rzeczywistości, w której akurat walił się wskazany przez ciebie balkon, i do innej, gdzie szalała burza. Na twój rozkaz wróciliśmy tutaj.

Chłopiec przełknął głośno ślinę. Więc jednak! Nie stał się co prawda czarnoksiężnikiem, ale los obdarzył go magiczną piłeczką, spełniającą życzenia jej posiadacza. Bajeczne! Zupełnie, jakby nagle znalazł na swoim balkonie cudowną lampę Aladyna. Bo w ostatecznym rachunku to wszystko jedno, czy robi się czary mrucząc zaklęcia lub strzelając palcami, czy też w sposób bardziej skomplikowany, poprzez jakieś „przesiadki” do innych światów. Ba-jecz-ne!

– Nie ma mowy o jakimkolwiek zagrożeniu Ziemi ze strony moich konstruktorów i gwiazdolotu, na którego pokładzie przybyłem – włączył się głos automatu po krótkiej chwili. – Bezwzględne poszanowanie i ochrona wszelkiej materii ożywionej jest podstawowym prawem obowiązującym w naszej cywilizacji. Wpaja się to także automatom.

– Więc gdybym cię wziął do ręki, a potem wsadził do kieszeni, żebyś był zawsze ze mną, to także nic byś mi nie zrobił? – upewniał się na wszelki wypadek Bolek.

– Nie. Podniosłeś mnie przed chwilą. Teoretycznie mógłbym umieścić cię w równoległej czasoprzestrzeni, w której cierpiałbyś na ból zęba lub topił się w bagnie, ale tylko pod warunkiem, że sam zażądałbyś ode mnie takiej zmiany. Moje centrum informatyczne podpowiada mi, że tego rodzaju życzenia z twojej strony są bardzo mało prawdopodobne.

– Na pewno, na pewno – przytaknął gorąco chłopiec wstrząśnięty wymienionymi przez automat możliwościami. – Ale... jeśli nie chcecie napadać na mieszkańców Ziemi, to co tu właściwie robicie?

– Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Mam konkretne przeznaczenie i nie posiadam wiadomości, które uznano za zbędne dla automatów typu jeden, jeden...

– Więc co teraz będzie? – przerwał Bolek. – Zostaniesz u nas... to znaczy, u mnie?

– Tak.

– A ten gwiazdolot? Czy tam są żywi ludzie, przepraszam, żywe istoty?

– Tak, dwie. Oprócz nich automaty. Jeden koordynacyjny i kilka zestawów specjalistycznych.

– I zepsuł się... to znaczy, ten statek?

– Tak.

– A co się stanie, gdy go naprawią?

– Spróbują mnie odnaleźć. Nie wolno zostawiać żadnych urządzeń w obszarach cywilizacji, z którymi nie nawiązano jeszcze kontaktu. Istoty należące do tych cywilizacji mogłyby pomyśleć, że grozi im inwazja, lub też wykorzystać te aparaty do niewłaściwych celów. Zapewne nie wiesz, że mieszkańcy niektórych światów zwalczają się wzajemnie. Tworzą odrębne grupy i rywalizują ze sobą. Przypadkowe udostępnienie supernowoczesnego sprzętu technicznego którejs z takich grup mogłoby spowodować tragiczne skutki.

Bolkowi zrobiło się przykro. Całe szczęście, że ta osobliwa piłeczka tak niewiele wie o świecie, do którego trafiła. Inaczej na pewno byłaby mniej szczerą...

– Czekaj no – zagadnął szybko, żeby zmienić temat – jak to jest, że ty mnie rozumiesz? Znasz mój język? A ja słyszę cię tak, jakbyś mówił wewnątrz mojej głowy. Czemu?

– Jestem wyposażony w aparaturę do wytwarzania i wysyłania fal biologicznych – odparł automat. – Informacje, jakie te fale niosą, są odbierane przez wszystkie żywe istoty na wyższym stopniu rozwoju. Mózg każdego odbiorcy, na którejkolwiek z planet, przyjmuje je w znanym sobie języku. Potrafię odbierać twoje myśli i porządkować je tak, by tworzyły logiczną całość. Natomiast ty, wydając mi polecenia, musisz mówić do mnie głośno. Wysyłane przez ciebie fale są bardzo słabe.

– Jesteś wyposażony w mnóstwo rzeczy – zauważył z lekkim przekąsem Bolek. – A przecież wyglądasz jak zwykła piłeczka tenisowa. Gdzie to się wszystko mieści?

– Poszczególne podzespoły są zminiaturyzowane – wyjaśnił Jeden-Jeden. – Kwestia techniki.

Nastąpiła chwila milczenia. Niebo za oknami nadal było bezchmurne i rozpalone. Przedszkolaki odeszły widać nad pobliskie jezioro, bo w dole panowała cisza.

– Słuchaj – odezwał się wreszcie chłopiec wracając do najważniejszej sprawy, związanej z tajemniczą wizytą kosmicznego automatu. – Co powinienem zrobić, abyś mógł mnie przenieść do tych jakichś innych światów, czyli zmieniać to, co jest, na coś innego?

– Wybiorę dowolny wariant załamania czasoprzestrzeni na każdy twój rozkaz.

– Tylko mój?

– Obecnie tak.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI